



16

Lewica się buduje



30

Piesi wyszli na ulice



50

Niezatapialny Asad

Temat tygodnia

- 12 **Paweł Kowal** o kreowaniu narodowych mitów i użytkach z historii

Polityka

- 16 Ryszard Łuczyn
Lewica: razem, czyli jak?
- 20 Rafał Kalukin
Krzysztof Bosak: przypudrowany radykał
- 23 Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz
o wyzwaniach dla opozycji i polowaniach władzy
- 26 Tomasz Sawczuk
OGŁĄD I POGLĄD
Czekanie na bombę

Społeczeństwo

- 30 Violetta Krasnowska
Bunt pieszych
- 33 Mariusz Sepioło
Fame MMA: patocelebryci się biją
- 36 Violetta Krasnowska
Kolejne dziwne samobójstwo w więzieniu
- 39 Rozmowa z prof. **Tadeuszem Pieńkowskim** o tym, dlaczego Polki zabijają rak piersi

Rynek

- 42 Joanna Solska
Biznes się oczyszcza
- 46 Prof. **Jeffrey Sachs** o tym, co zrobić, żeby wygrać z populizmem

Świat

- 50 Łukasz Wójcik SYRIA
Baszar Asad: dyktator z krwią na rękach, który wszystkim pasuje
- 54 Tomasz Zalewski USA
Przypadek Katie Hill – kobietom wolno mniej
- 58 Artur Domosławski CHILE
Zbuntowani antysystemowcy
- 62 Adam Szostkiewicz
Synod amazoński podzielił Kościół

Historia

- 64 Eva Milczarek
Druga żona Piłsudskiego: waleczna rewolucjonistka
- 67 Adam Krzemiński
Fatalne skutki zjednoczenia Niemiec

Nauka

- 70 Agnieszka Krzemińska
Mamki i butelki – czym i jak karmiono kiedyś dzieci
- 73 NIE/PRAWDA ŻE
Przegląd odkryć i przykrzyć
- 74 Rozmowa z dr. inż. **Mariuszem Ptakiem** o tym, jak się najlepiej zabezpieczyć przed urazem głowy
- 76 Sławomir Kosieliński **Jak sztuczna inteligencja kreuje modę**

Ludzie i style

- 78 Mirosław Pęczak
Disco polo wkracza na salony?

- 82 Anna S. Kowalska, Aleksandra Żelazińska
Depresja klimatyczna

Kultura

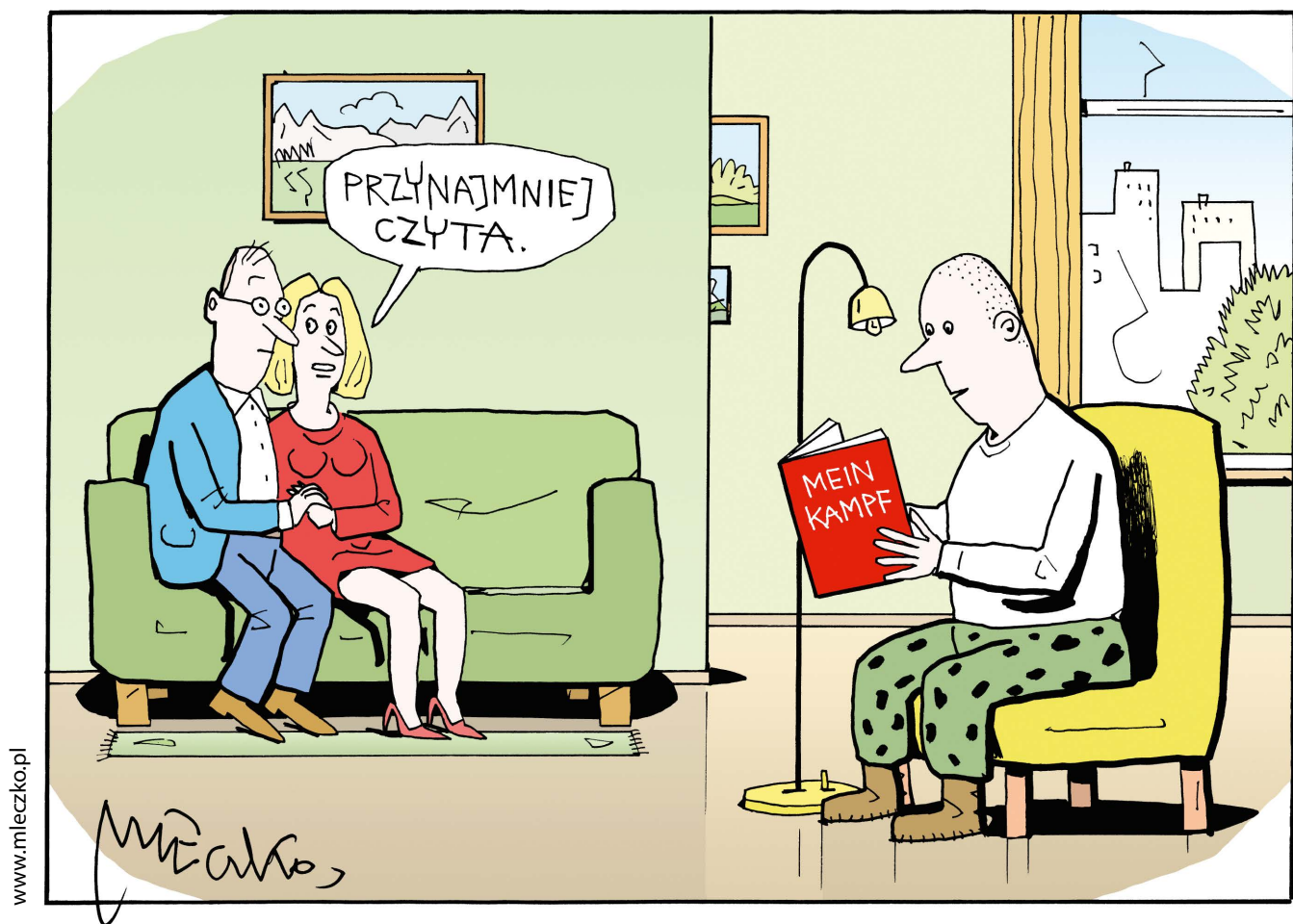
- 90 Marcin Piątek
Wacław Kiełtyka: wielka kariera gitarzysty z Krosna
- 93 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 94 Bartek Chaciński **Dzieje internetu**
- 96 Rozmowa z reż. **Łukaszem Kośmickim** o kulisach powstania „Ukrytej gry”
- 100 **Colson Whitehead** o tym, jak w swych powieściach odsłania mroczną historię Ameryki

Na własne oczy

- 108 Piotr Sarzyński
fotografie Wojciech Wilczyk
Patriotyczne murale – czyli historia na pokaz

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 86 Afisz
- 102 Chutnik i Plebanek
- 103 Passent
- 104 Hartman
- 105 Tym
- 106 Mizerski na bis
- 107 Do i od redakcji
- 114 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Kultura i sztuka rządzenia

Po wyborach PiS ostro zabrał się do roboty. Między zaledwie trzy tygodnie, a rząd Mateusza Morawieckiego już zapowiedział, których obietnic w pierwszej kolejności nie zrealizuje. Rząd oświadczył, że po pierwsze, nie zdąży z pakietem ustaw dla przedsiębiorców i emerytów, które Sejm miał uchwalić w ciągu 100 dni od wyborów. Po drugie, rząd dał do zrozumienia, że w przyszłym roku nie nastąpi kwotowo-procentowa waloryzacja emerytur dla najbardziej potrzebujących i nie dojdzie do uchwalenia pierwszego w historii zrównoważonego budżetu. Nie wiadomo, w jakiej kolejności wspomniane projekty nie będą realizowane, na decyzje w tej sprawie wypadnie nam poczekać. Aby jednak oddać PiS sprawiedliwość, trzeba powiedzieć, że są też projekty, które jego rząd konsekwentnie realizuje, takie jak np. powstrzymanie „tęczowej zarazy” czy podważanie wyników wyborów do Senatu. Albo zaplanowana na najbliższe miesiące, a może i lata, odmowa mianowania profesora Stoli na dyrektora muzeum Polin przez ministra kultury, sztuki i dziedzictwa narodowego. Odmowa ta ukazuje intelektualny rozmach myślenia Glińskiego o kulturze, sztuce i dziedzictwie narodowym. Uważam, że dzięki niej Gliński będzie długo pamiętany, a może nawet sam stanie się częścią historii kultury, sztuki i dziedzictwa narodowego, czego mu rzecz jasna życzę.



Z sukcesów, które już udało się PiS osiągnąć, warto wymienić zakończenie trudnej sprawy tzw. dwóch wież Jarosława Kaczyńskiego. W sprawie tej pani prokurator Renata Śpiewak w wyniku długotrwałego śledztwa nie dojrzała się ani dwóch wież, ani nieprawidłowości w postępowaniu Jarosława Kaczyńskiego. Dla uzyskania pewności, że prezes PiS nie złamał prawa, prokurator Śpiewak w ogóle go nie przesłuchiwała, co w zgodnej opinii prawników jest na razie jej największym sukcesem w karierze. Winnym afery dwóch wież okazał się natomiast typowany od samego początku przez prokuraturę obywatel austriacki, którego mimo to potraktowano łagodnie. Po wielogodzinnych przesłuchaniach Austriak został wypuszczony zapewne z przeświadczeniem, żeby z oskarżaniem Jarosława Kaczyńskiego lepiej dać sobie spokój.

Z innych sukcesów rządu należy wspomnieć wybór Polaka na komisarza UE, a także wybór Polki na laureatkę Literackiej Nagrody Nobla. Ten ostatni sukces jest jednak przez niektórych kwestionowany, bo nie do końca wiadomo, czy laureatka jest pisarką polską, czy raczej antypolską. Dlatego z gratulacjami trzeba się wstrzymać do czasu, aż minister Gliński, w celu ustalenia, jaka jest prawda, doczyta do końca jakąś książkę laureatki, co zresztą już publicznie zapowiedział.

Nadchodzą eleganckie SUV-y Hyundai.

teraz suma korzyści
do **15 000 zł**
Leasing 102%

SANTA FE

TUCSON

Luksusowy Hyundai SANTA FE oraz elegancki Hyundai TUCSON teraz w atrakcyjnych cenach i w leasingu 102%. Poznaj nowoczesne systemy bezpieczeństwa, komfort jazdy oraz zaawansowane technologie godne marki, która drugi rok z rzędu została nr 1 w Raporcie Jakości tygodnika Auto Świat.

Zapraszamy do salonów Hyundai.
Więcej na hyundai.pl



Raport Jakości 2018 Auto Świat nr 5 (1157) 29 stycznia 2018 oraz Raport Jakości 2019 Auto Świat nr 5 (1206) 28 stycznia 2019 r. Kryteria oceny: powszechne usterki, akcje naprawcze, testy długodystansowe, raport TÜV, gwarancja. 5-letnia Gwarancja Bez Limitu Kilometrów Hyundai dotyczy jedynie tych samochodów Hyundai, które były sprzedane Klientowi końcowemu przez Autoryzowanego Dealera Hyundai na warunkach opisanych w książce gwarancyjnej. Szczegóły dot. propozycji cenowej i programu gwarancyjnego, w tym wyłączeń gwarancji, dostępne są u Autoryzowanych Dealerów Hyundai. Prezentowana suma korzyści dotyczy modelu Santa Fe z roku produkcji 2019 o zużyciu paliwa od 6,4 do 7,4 l/100 km średnio we wszystkich fazach i emisji CO₂ od 167 do 193 g/km, składają się na nią upust gotówkowy 12 000 zł oraz premia za odkup obecnego samochodu 3 000 zł, jest rekomendowaną sumą korzyści brutto i nie wyklucza wprowadzenia promocji dealera. Samochody prezentowane w reklamie to: Tucson 1.6 CRDI 7DCT 2WD (136 KM) w wersji Premium o zużyciu paliwa 5,8 do 6,3 l/100 km średnio we wszystkich fazach i emisji CO₂ od 151 do 166 g/km oraz Santa Fe 2.0 CRDI 8AT 4WD (185 KM) w wersji PLATINUM z Pakietem Inspiration o zużyciu paliwa od 6,8 do 7,4 l/100 km średnio we wszystkich fazach i emisji CO₂ od 177 do 193 g/km. Propozycja dotyczy wskazanych modeli w leasingu na określonych warunkach. Szczegóły finansowania u dealerów Hyundai. Propozycja nie stanowi oferty i jest adresowana wyłącznie do przedsiębiorców. Finansowanie BNP Paribas Leasing Services Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

Kup książkę

Kto na Dudę?



Jerzy Baczyński

Do pierwszej tury wyborów prezydenckich zostało pół roku. To niby mało, ale nie sądzę, aby opozycja (a zwłaszcza jej największa partia, czyli PO) już musiała zgłaszać kandydata; naprawdę powinno wystarczyć, jeśli pretendent zostanie wskazany w styczniu. Świąteczny grudzień i tak słabo nadaje się na kampanijne zawracanie głowy. Niecierpliwi przywołują zwykle argument, że Andrzej Duda już piąty rok prowadzi kampanię i za moment „będzie miał odwiedzone” wszystkie polskie powiaty. No, ale tym bardziej opozycja już w tym wyścigu Dudy nie dogoni. Zresztą objazdowe występy prezydenta adresowane są do publiczności, na której to robi wrażenie. Elektoraty opozycji – co widać po wyborach parlamentarnych – są znacznie mniej wrażliwe na przedwyborcze spektakle. Trzy opozycyjne koalicje miały kampanie wątle, tanie, krótkie, a i tak zebrały o milion głosów więcej niż PiS.

Więc bez nerwów: jest kilka tygodni na rozmowy i konsultacje między liderami opozycji, na przeprowadzenie badań, na wybór kandydata, jego/jej merytoryczne przygotowanie, zebranie pieniędzy, wolontariuszy i sztabów, a potem opracowanie precyzyjnego planu, na pierwszą i osobno na drugą turę. Stawka dla każdej formacji opozycyjnej jest zbyt wysoka, aby tym razem pozwolić sobie na wyczajowe „my z synowcem na czele i jakoś to będzie”. Nie będzie albo będzie katastrofa.

Pisaliśmy zaraz po październikowych wyborach, że w zasadzie (mimo formalnego zwycięstwa PiS) pozostały one politycznie nierozstrzygnięte i dopiero majowa dogrywka prezydencka zdecyduje o ich wyniku. Przegrana Dudy odebrałaby PiS możliwość dowolnego stanowienia prawa, zmusiłaby rządzących do jakiejś formy liczenia się z opozycją. Byłby to cios w samą istotę państwa PiS, czyli niekontrolowanej władzy „centralnego ośrodka dyspozycji politycznej” – jak w języku politologii jest nazywany Jarosław Kaczyński. „Rewolucja PiS”, normalniejąc, stawałaby się stopniowo własnym cieniem, awatarem, zombie. I odwrotnie: wygrana Andrzeja Dudy usankcjonowałaby samowładzę Nowogrodzkiej, przyspieszyła proces budowy partyjnej oligarchii (nazywany wymianą elit), rozprawę z niezależnymi sądami, mediami, samorządami, uniwersytetami.

Faktycznie zostałyby też unieważnione wybory 2023 r., bo nawet gdyby było jeszcze możliwe arytmetyczne zwycięstwo opozycji, to wobec totalnego weta prezydenta nie mogłaby ona ani odwrócić zmian narzuconych przez PiS, ani prowadzić własnych projektów. A o ile można jeszcze wyobrazić sobie konstruktywną kohabitację opozycyjnego prezydenta z pisowskim rządem, to w przeciwnym kierunku (znając dobrze i Kaczyńskiego, i Dudę, i ich marionetkową relację) jest to kompletnie niewyobrażalne. Maj 2020 r. rozciągnie się politycznie przynajmniej do 2025 r.

Od kilku tygodni po stronie opozycyjnej odbywa się gorączkowy casting na kandydata. W obiegu jest kilka nazwisk tzw. partyjnych i kilka „niezależnych”. Problemu nie ma właściwie tylko PSL: Władysław Kosiniak-Kamysz jest jedynym,

naturalnym wyborem. Ba, według wielu analityków, miałby też największe szanse na pokonanie w drugiej turze Andrzeja Dudy, bo jego elektorat negatywny jest stosunkowo niewielki (30 proc. według sondażu dla OKO.press; tyle co Małgorzaty Kidawy-Błońskiej). Ale ponieważ startuje z poziomu 9 proc. poparcia dla PSL, do drugiej tury mogłoby go wprowadzić tylko jakieś szczególne porozumienie opozycji, na co się nie zanosi.

Na Lewicy zgłaszany wcześniej Robert Biedroń tak zepsuł swój wizerunek, że w sondażach bez trudu przeskakuje go niezgłaszany Adrian Zandberg. Świetnym kandydatem (gdyby się zgodził) byłby dla Lewicy, a może i całej centrolewicy, Adam Bodnar. Dziś jednak polityczne realia są takie, że największe szanse na przejście do drugiej tury będzie miał kandydat KO, czyli albo Donald Tusk, albo Małgorzata Kidawa-Błońska. Tylko te dwa nazwiska naprawdę się liczą – pomysł jakichś partyjnych prawyborów w KO jest politycznie, wizerunkowo, nawet technicznie nedoręczny. A zatem, Tusk czy Kidawa? – oto jest pytanie. Partia na razie zostawia decyzję Tuskowi: pani marszałek będzie kandydatką, jeśli on nie będzie.

Małgorzata Kidawa-Błońska ma mnóstwo osobistych zalet, wystarczających, aby pokonać Dudę. Brak jej jednak kampanijnego doświadczenia, może też pewnej dozy użytecznego narcyzmu i agresji; więc gdyby naprawdę miała wystartować, potrzebowałaby profesjonalnego treningu, a przede wszystkim lojalnego, profesjonalnego sztabu. Nie ulega wątpliwości, że dziś jedyną osobą w Polsce, która ma odpowiednie doświadczenie oraz wszystkie niezbędne umiejętności do poprowadzenia zwycięskiej kampanii i do sprawowania urzędu prezydenta – jest Donald Tusk. Tyle że Tusk ma dziś aż 44 proc. elektoratu negatywnego i w sondażach wciąż przegrywa z Dudą.

Wyjaśnienia są oczywiste: przez 5 lat nieustannego lansowania „winy Tuska”, oskarżania byłego premiera o zdradę, nadużycia, najcięższe zbrodnie publiczne, ciągnięcia go przed wymyślone polityczne trybunały – PiS zdewastował jego wizerunek. Inni dodają, że Tusk sam się wyalienował z polskiej polityki, nie rozliczył się z okresu premierowania, nie dbał o kontakty z opozycją, zwlekał, zwodził, lekceważył. Dodatkowym jego obciążeniem – w perspektywie wyborów – miałyby być złe relacje ze Schetną, co nie wróży szczerego zaangażowania PO w kampanię Tuska. Dość żeby nie startować. Ale, ale...

Zważywszy, że Tuska nie było tu 5 lat, jego sondażowy dystans wobec Dudy jest minimalny i może być łatwo odwrócony kampanią. Sam był premier – sądząc z jego wypowiedzi – też się zmienił przez ten czas: wraca do Polski w wersji Tusk 2.0. Jak cały unijny mainstream „zzieleniał”, zlewicował, dojrzał, stał się (krytykując dawnego Tuska) świadomy wyzwań klimatycznych, społecznych, migracyjnych, geopolitycznych, także (o czym mówił w zapomnianym warszawskim przemówieniu) zagrożeń niesionych przez internet, nowe media i technologie. W Unii nauczył się mediacji, dogadywania nawet z najtrudniejszymi oponentami. Jest szansa, że wniósłby do polskiej zaśniewanej, prymitywnej, awanturniczej polityki (gdzie, według rządzących, głównym problemem jest atak LGBT na rodzinę) to, czym naprawdę przejmują się i czego szuka świat, inny styl rozmowy. W zestawieniu z Andrzejem Dudą, drugorzędnym działaczem PiS, specjalistą od pseudopatriotycznych banialuk, Tusk pozostaje zawodnikiem innej kategorii wagowej. Co nie znaczy, że jako „powracający z zagranicy” nie może z Dudą przegrać. Ale takie starcie byłoby wreszcie realną konfrontacją Polski europejskiej z pisowską, prawdziwego polityka z zastępcą. Także szansą dla PO wyjścia z marazmu. Dzisiejsze sondaże dotyczące szans Tuska są bezwartościowe; powinien teraz dostać choć kilka tygodni na prekampanię, sprawdzić siebie i sam być sprawdzony. Tusk już niczego w życiu nie musi, ale, wyjeżdżając, jakieś rachunki tu na stole pozostawił.

Skąd prezes ma kamienicę?

Krakowską kamienicę, w której wynajmowano pokoje na godziny, Marian Banaś otrzymał w kwietniu 2001 r. od akowca Henryka Stachowskiego. Ledwie rok wcześniej przysły darczyńca zeznawał jednak w sądzie, że nie ma żadnych nieruchomości. W dokumentach przechowywanych w IPN można przeczytać, że w marcu 1999 r. Stachowski złożył do Wojskowego Sądu pozew o 120 tys. zł odszkodowania za „doznaną krzywdę z powodu niesłusznego skazania i represjonowania za działalność na rzecz niepodległego państwa Polskiego w latach 1945–1989”. Jako 23-latek w maju 1945 r. Stachowski razem z kolegami z AK z bronią w ręku napadli na Komunalną Kasę Oszczędności w Myślenicach. Wynieśli z niej 130 tys. zł. Jak tłumaczył Stachowski przed sądem, pieniądze były im potrzebne „na dalszą walkę o niepodległość Polski”. W 1947 r. złagodzono mu karę do 2,5 roku.

Stachowski zeznawał przed sądem, że jest schorowany i samotny, a za pieniądze z odszkodowania kupił mieszkanie: „Na starość mógłbym się czuć w miarę bezpiecznie do końca mojego życia we własnym mieszkaniu”. W październiku 1999 r. Sąd Najwyższy zasądził na jego korzyść 68 tys. zł. O sprawie pierwsi pisaliśmy w serwisie Polityka.pl – kilka dni później napisały o tym również dziennikarki „Rzeczpospolitej”. Okazało się, że

Stachowski nigdy nie wykupił na własność mieszkania przy ul. Potebni w Krakowie, które zajmował od 40 lat. Natomiast 1 grudnia 2000 r. miasto oddało mu kamienicę, którą po wojnie odebrano jego rodzinie. Pięć miesięcy później, w kwietniu 2001 r., podpisał on z Marianem Banasiem umowę dożywocia. W oświadczeniu Banasia czytamy, że przyznał się ze Stachowskim: „Po śmierci żony w 1990 r. pozostał sam, ponieważ jego małżeństwo było bezdzietne. Opiekowałem się nim jak członkiem rodziny aż do jego śmierci (tj. do 22 czerwca 2007 r.), traktując przy tym, tak jak i on, ustaloną kwotą dożywocia jedynie w kategoriach symbolicznych”. Banaś w umowie dożywocia otrzymał od Stachowskiego kamienicę i 4,7 arów działki z drewnianym domkiem. W zamian zapewnił Stachowskiemu opiekę i 500 zł miesięcznie.

Przed sądem w 1999 r. Stachowski zeznał, że przed wojną jego rodzinie żyło się dostatnio: „Mieliśmy własny dom czynszowy (kamienica przy Krasickiego 24 – red.), potem nam go zarekwirowano i teraz mam go odebrać”. Rodzice Stachowskiego byli krakowskimi kupcami (mieli dwa sklepy: obuwniczy i z artykułami żelaznymi). Rodzinie Stachowskich zostało w kamienicy tylko mieszkanie pod nr 1. Wiele lat mieszkali w nim siostry Stachowskiego: Helena Wieszczyk (po mężu) i Hermina. Henryk

wyprowadził się z kamienicy na początku lat 50. Z akt policyjnych, do których dotarł dziennikarz TVN, wynika, że w kamienicy pod nr 3 zamieszkał Piotr Hyszko. Mężczyzna po wyjściu z więzienia (skazany za zabójstwo) związał się z siostrą Stachowskiego, Heleną. Hyszko odseparował ją od świata. W 1998 r. do sądu trafił kolejny akt oskarżenia przeciwko niemu, tym razem o zabójstwo Heleny. Był oparty na poszlakach, bo nie udało się znaleźć jej ciała. Proces nie ruszył, ponieważ Hyszko zmarł. W połowie 1998 r. do sądu cywilnego w Krakowie trafił wniosek Henryka Stachowskiego o uznanie Heleny Wieszczyk za zmarłą. Sąd uznał ją za zmarłą w styczniu 2000 r., a 1 grudnia tego samego roku miasto przekazało budynek Stachowskiemu.

Kamienica przy Krasickiego 24 przed wojną należała do rodziny dr. Kazimierza Putka. To prawnik, który swą karierę w II RP związał z wojskiem i później z AK. Jak udało nam się ustalić, w grudniu 1933 r. matka Stachowskiego, Marianna, kupiła od Putków kamienicę. W 1993 r. siostra Stachowskiego, Helena, złożyła wniosek do miasta o wydanie nieruchomości. Nie miała jednak załatwionych spraw spadkowych, więc kamienica nie została jej wydana. W 2000 r. Stachowski ponownie złożył wniosek o wydanie nieruchomości. Miasto spełniło jego żądania, bo Stachowski przeprowadził wszystkie postępowania spadkowe – po matce, bracie, siostrze – i udowodnił, że kamienica należy już tylko do niego. (DAB.)

Koniowóz z tygrysami

Względnym happy endem kończy się odyseja tygrysów z Koroszczyna. Z dziesiątki przeżyła dziewiątka; znalazły schronienie w ogrodach zoologicznych w Poznaniu i Czułchowie, po rekonwalescencji część trafi do centrum ratowania dzikich kotów w Hiszpanii. Włoscy obrońcy praw zwierząt twierdzą, że tygrysy pochodzą z Lacjum, z rodzinnej hodowli zajmującej się sprzedażą m.in. dużych kotów przeznaczonych do tresury. Ewa Zgrabczyńska, dyrektorka poznańskiego zoo, które pospieszyło zwierzętom z pomocą, uważa, że do rosyjskiego Dagestanu zostały wysłane na pewną śmierć. Podejrzewa, że planowano przerobić je na specyfiki tradycyjnej medycyny chińskiej.

Nie trzeba było żadnego cudu, aby dotarły aż do granicy Polski z Białorusią. To był pierwszy punkt, gdzie służby weterynaryjne miały obowiązek przyjrzeć się zwierzętom. Na wcześniejszych etapach trasy, która odbywała się przez terytorium UE, ciężarówka mogła przejechać praktycznie niezauważona – prawdopodobieństwo, że skontroluje ją policja, której jeszcze np. będzie towarzyszył lekarz weterynarii, było niewielkie. Transport zatrzymali dopiero Białorusini lubujący się w pieczętkach i papierach. Nie interesowała ich jednak kondycja zwierząt, tylko brak wiz i odpowiedniej dokumentacji weterynaryjnej. To oraz fatalne warunki w dagestańskim zoo, do którego rzekomo miały trafić tygrysy, miałyby wskazywać na próbę przemytu.

Zwierzęta uratowano jedynie dzięki pospolitemu ruszeniu – trwa też zbiórka na ich utrzymanie i leczenie. W Polsce nie ma wyspecjalizowanego azylu przyjmującego egzotyczne zwierzęta. Ogrodom zoologicznym brakuje zaś miejsca i funduszy. Zwiększania możliwości ogrodów na koszt państwa oczekują Zieloni – ich współprzewodniczącą Małgorzata Tracz postuluje przystosowanie części zoo tak, aby

mogły zająć się rehabilitacją i opieką nad nierodzimymi zwierzętami pochodzącymi z przemytu lub tymi wypuszczanymi przez niefrasobliwych hodowców, w tym węzami, żółwiami i pajakami.

Powołania centralnego azylu finansowanego z budżetu państwa chce Krajowa Administracja Skarbowa. W przesłanym nam oświadczeniu informuje, że w latach 1998–2018 celnicy zatrzymali ponad 29 tys. przedstawicieli gatunków zagrożonych wyginieciem i objętych konwencją CITES, których przewóz przez granice jest ściśle uregulowany. KAS widzi lokalizację nowego azylu w centralnej Polsce: miałyby mu towarzyszyć mniejsze ośrodki przy wschodniej granicy. Rozmowy w tej sprawie zapowiedział minister finansów Jerzy Kwieciński. Z drugiej strony dyr. Ewa Zgrabczyńska przygotowuje już obywatelską inicjatywę ustawodawczą, mającą doprowadzić do stworzenia azylu. Liczy na porozumienie ponad politycznymi podziałami. (JW)





Smutne święto

Wrogość do III RP i UE. W rocznicę odzyskania niepodległości najbardziej masowe wydarzenie w stolicy naszego kraju będzie miało właśnie taki kontekst. Jak do tego doszło?

Łatwo przewidzieć, jak będzie wyglądał świąteczny dzień 11 listopada w Warszawie. Podkreślam, że chodzi o to, co będzie działo się w stolicy, bo jestem przekonany, że w wielu miejscach w naszym kraju odbędą się godne uroczystości, które będą jednoczyć Polaków. Tak będzie na pewno w Gdańsku, gdzie od 2002 r. w atmosferze politycznego ekumenizmu odbywają się radosne Parady Niepodległości pod patronatem prezydenta miasta. W tym roku po raz pierwszy na Paradzie zabraknie prezydenta Pawła Adamowicza. Zapewne więc atmosfera będzie inna i nie z jednych oczu popłyną łzy, ale – jestem przekonany – będzie godnie.

Polska będzie jednak patrzeć przede wszystkim na Warszawę. Tam na oficjalnych uroczystościach państwowych z pewnością nie odnajdziemy atmosfery politycznego ekumenizmu, gdyż takowej nie było w stolicy od lat. Dobrze pamiętamy, jak przed rokiem został potraktowany Donald Tusk, przewodniczący Rady Europejskiej, ustawiony na trybunie honorowej w kącie, w miejscu zajmowanym zwykle przez drugorzędnych urzędników państwowych. Tego dnia najbardziej masowym wydarzeniem w stolicy będzie – jak od lat – Marsz Niepodległości, organizowany przez środowiska skrajnie prawicowe. Pójdą w nim dziesiątki tysięcy ludzi. Z pewnością bardzo wielu, aby dać wyraz przywiązaniu do ojczyzny, biało-czerwonych barw i uczcić kolejną rocznicę odzyskania niepodległości. W pierwszych szeregach zobaczymy jednak emblematy i hasła organizacji, które „zabawiały się” w Katowicach wieszaniem na szubienicach wizerunków europosłów Platformy Obywatelskiej ujmujących się w Parlamencie Europejskim za poszanowaniem w Polsce konstytucji i rządów prawa.

Jestem przeciwny wrzucaniu do jednego worka wszystkich ugrupowań i środowisk skrajnej prawicy i etykietowaniu ich hasłem „faszyści”. Jednak przynajmniej dwa wyróżniki są dla tych środowisk wspólne: wrogość do III Rzeczypospolitej – a więc formuły ustrojowej państwa budowanego od 1989 r. – i podobna wrogość do Unii Europejskiej, której rozpad stwarzałby dla Polski wielkie zagrożenie geopolityczne. To smutna refleksja, ale w dniu rocznicy odzyskania niepodległości najbardziej masowe wydarzenie w stolicy naszego kraju będzie miało właśnie taki kontekst. Trzeba zatem zadać pytanie: jak do tego doszło?

Manifestacje uliczne po mszach odprowadzanych w intencji Ojczyzny w końcowej fazie PRL były inicjatywą opozycji demokratycznej, a ściślej jej prawicowego skrzydła, czyli Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Po raz pierwszy te manifestacje – kończące się w Warszawie przed Grobem Nieznanego Żołnierza i przed narodowymi pomnikami w kilku innych dużych miastach – odbyły się 11 listopada 1978 r. w 60. rocznicę odzyskania niepodległości. Działo się to na fali entuzjazmu po niedawnym wyborze na papieża kardynała Karola Wojtyły. Wkrótce w organizowaniu tych manifestacji wzięły udział także: Ruch Młodej Polski, Konfederacja Polski Niepodległej oraz Wolne Związki Zawodowe.

Od początku należałem do organizatorów tych zakazanych obchodów. Dobrze pamiętam nastroj patriotycznego uniesienia, tamte

emocje, a zwłaszcza psychiczne napięcie (dla organizatorów manifestacji często kończyły się aresztem). Pamiętam także euforyczny nastrój naprawdę potężnych manifestacji rocznicowych po Sierpniu 1980 r. W stanie wojennym solidarnościowe podziemie wzywało do demonstracji w dniach rocznic narodowych. Udział w nich wiązał się z realnym ryzykiem więzienia i ciężkiego pobicia, a jednak znajdowało się sporo odważnych, którzy to ryzyko podejmowali.

Przyszła wolna Polska. Bez przelewu krwi. Za wolność tym razem zapłaciliśmy znacznie mniejszą cenę niż po pierwszej wojnie światowej i mniejszą, niż zakładaliśmy. Od samych początków III Rzeczypospolitej władze państwowe uroczystości obchodziły w Warszawie do niedawna zakazane narodowe święta. Państwowe obchody nie przyciągały jednak tłumów.

Prezydent Bronisław Komorowski chciał im nadać większy rozmach, uspołecznic je. Dlatego w 2012 r. zainicjował Marsz dla Niepodległej i zaprosił do udziału w nim warszawiaków. Wydawać się mogło, że nie ma osoby, która ma większe szanse nadania stołecznym obchodom rozmachu. Nie tylko ze względu na sprawowany urząd, ale także dlatego, że Komorowski należał do osób najbardziej zasłużonych dla upamiętnienia zakazanych narodowych rocznic w drugiej połowie lat 70. ubiegłego wieku. Wielokrotnie płacił za to aresztami – i miesiącem więzienia za wygłoszenie przemówienia przed Grobem Nieznanego Żołnierza 11 listopada 1979 r.

A jednak mimo jego zaangażowania i dobrej woli rezultat był poniżej oczekiwań. Jako członek Kapituły Orderu Orła Białego brałem udział we wszystkich Marszach dla Niepodległej. Prezydent Komorowski dbał o oddanie czci postaciom historycznym należącym do różnych nurtów politycznych, mających zasługi dla powstania II Rzeczypospolitej. Wraz z kilkoma innymi osobami, poczuwającymi się do związku z tradycją Narodowej Demokracji, towarzyszyłem mu, kiedy składał wieniec pod pomnikiem Romana Dmowskiego, do którego – uznając jego zasługi dla odzyskania niepodległości – prezydent zachowywał dystans.

Na prezydenckim marszu panowała serdeczna atmosfera, ale warszawiacy nie uczestniczyli w nim zbyt licznie. Przeważali dawni działacze opozycji i politycy rządzącej wówczas opcji. Było sporo urzędników. Odczuwaliśmy sympatie mieszkańców stolicy, z których wielu machało przyjaźnie z okien, ale ta sympatia nie przekładała się na potrzebę czynnego uczestnictwa w wydarzeniu. Wieczorem zaś obserwowałem w telewizji relację z pochodu, nie zawsze pokojowego i przyjaznego, tłumy uczestniczącego w Marszu Niepodległości.

Jaki wniosek wyciągam z tych obserwacji? W czasach normalnych, niewymagających heroizmu, wielu z nas nie widziało potrzeby demonstrowania patriotyzmu, uznając sukces polskiej demokracji za zjawisko trwałe. Nie potrafiliśmy mówić o Polsce i o narodzie w sposób, który umacniałby w szerokich kręgach społeczeństwa poczucie, że naprawdę tworzymy wspólnotę. Teraz płacimy za to cenę. Zaniedbaną lekcję trzeba koniecznie odrobić.





5 dni, 3 998 zł

Madryt, Toledo i Segowia

Zobacz wspaniały Madryt - miasto królów i malarzy oraz słynne Toledo i Segowia, wpisane na listę UNESCO

Program wycieczki: **Dzień 1** Wylot z Warszawy do Madrytu. Wycieczka po mieście. **Dzień 2** Madryt - Toledo. Katedra Najświętszej Maryi Panny, kościół Santo Tomé i czas wolny. Powrót do Madrytu i spacer po „Madrid de los Austrias”. **Dzień 3** Segowia i Ávila. Zamek Alcázar, stare miasto i akwedukt rzymski. **Dzień 4** Madryt. Zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dzień 5** Madryt. Wylot do Polski.

✈ Wylot z Warszawy: 04/05 2020



13 dni, 8 998 zł

Zachwycający Wietnam

Poznaj największe atrakcje Wietnamu czyli najważniejsze miasta: Hanoi, Hoi An, Huế i Ho Chi Minh, Deltę rzeki Mekong oraz weź udział w rejsie po Zatoce Ha Long

Wyruszą na wycieczkę z biurem Albatros Travel i zobacz to, co najlepszego ma do zaoferowania Wietnam. Jednym z większych przeżyć będzie rejs po Zatoce Ha Long, pośród 3000 wapiennych wysepek. Zatoka ta umieszczona została na liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. Odwiedzimy również cztery interesujące i bardzo różne miasta wietnamskie: Hanoi, Hoi An, Huế i nowoczesne miasto Ho Chi Minh.

✈ Wylot z Warszawy: 17/03, 13/10, 10/11 2020, 16/02 i 09/03



8 dni, 12 798 zł

Rejs dookoła Islandii

na pokładzie statku Ocean Atlantic

Podczas tego wyjątkowego rejsu opłyniemy całą Islandię i dotrzemy do miejsc dostępnych tylko od strony morza. Pojedziemy też w głąb lądu, aby podziwiać niesamowite, miejscami księżycowe krajobrazy z wysokimi górami, aktywnymi wulkanami, gejzerami, lodowcami, obszarami lawy, gorącymi źródłami, surowymi fiordami i wysokimi wodospadami. Zobaczymy m. in. lodowcowe jezioro Jökulsárlón, wodospad Dettifoss i główną atrakcję północnej Islandii - jezioro Mývatn. Będziemy mijać wioski rybackie, plaże z czarną lawą i odwiedzimy Park Narodowy Skaftafell. Oczywiście zatrzymamy się też przy słynnym wodospadzie Gullfoss i zwiedzimy kameralny Reykjavik.

✈ Wylot z Warszawy: 02/06 i 09/06 2020



14 dni, 23 998 zł

Sowietistan

Odwiedź 5 egzotycznych środkowoazjatyckich krajów: Uzbekistan, Turkmenistan, Kirgistan, Tadżykistan i Kazachstan

Podczas tej wycieczki odwiedzimy między innymi słynne miasta Bucharę i Samarkandę, w których dawniej zatrzymywały się karawany na Jedwabnym Szlaku oraz miasto-oazę Merw wpisane na listę UNESCO. Przejedziemy po pustyni Karakum, zobaczymy fantastyczne meczety, fortece i mauzolea jak np. forteca w Nissa także wpisana na listę UNESCO czy grób Timura oraz zwiedzimy Aszkebad, Taszkient, Biszkek i Ałmaty.

✈ Wylot z Warszawy: 09/05 2020



Jesień młodych gniewnych

Protestujący w Bejrucie czasami też robią sobie selfie.

Wiadomości z regionu zdominowali młodzi na ulicach. W Libanie, po dwóch tygodniach gwałtownych protestów, które wybuchły spontanicznie, właśnie obalili premiera Saada Haririego. W uniesieniu mówi się o narodowym przebudzeniu, choć nie bardzo wiadomo, jak tę masową frustrację i gniew przekuć w czyn. Jeszcze gorzej jest w Iraku, gdzie w manifestacjach, głównie z udziałem młodych mężczyzn, szybko połała się krew. Od początku października, odkąd trwają niepokoje, zginęło 260 osób, a ponad 11 tys. zostało ciężko rannych. W Bagdadzie, to nie przypadek, młodzi szturmowali „zieloną strefę”, dawną bezpieczną enklawę tworzoną przez Amerykanów, dziś spokojną, zamożną i zamkniętą dzielnicę rządową. Wielokrotnie manifestowali też na historycznym placu Tahrir, domagając się ustąpienia rządu oraz rozwiązania parlamentu, tam też doszło do strzelaniny z udziałem milicji szyickich. Krwawo stłumione zostały młodzieżowe zamieszki w Karbali. Doszło do blokady pól naftowych i dróg.

Niespodziewanie ostre protesty młodych wybuchły też w Egipcie prezydenta Sisiego, gdzie od dawna panował narzucony siłą spokój. W Algierii głównie młodzi protestanci pozostają na ulicach, co piątek, praktycznie od kwietnia. Szybko obalili sparaliżowanego prezydenta Buteflikę, ale nie udało się pójść ani kroku dalej, krajem rządzi wojskowi, wybory prezydenckie zawieszono, mają się odbyć w grudniu, ale pod kontrolą generałów. W Tunezji, która jest regionalnym prymusem, udało się przeprowadzić drugie już wolne wybory prezydenckie; choć zwyciężył w nich, wspierany głównie przez młodych, całkowicie outsider, zresztą z ultrakonserwatywnym programem. W ramach protestu wycięto wszystkich kandydatów związanych z władzą. Wszędzie tam ludzie poniżej 25. roku życia stanowią przynajmniej 60 proc. Co mogło być potężnym społecznym atutem, a stało się zagrożeniem. Wspólny mianownik wszystkich tych tak różnych wydarzeń to bezrobocie i korupcja, powiązane zwykle ze sobą. Nawet w Tunezji, gdzie udało się wiele, na obu tych polach praktycznie nie ma postępu. Że to mieszanka zapalna, wydaje się raczej banalną konstatacją.

Farage przeciwko brexitowi

Węzeł gordyjski przecięty! Brytyjczycy pójdą do wyborów 12 grudnia i wymienią parlament. Na wybory, o które od dawna apelował premier bez większości Boris Johnson, zgodziła się ostatecznie Partia Pracy – dzięki jej poparciu udało się uzyskać potrzebną większość dwóch trzecich głosów. Laburzyści doszli do wniosku, że po kolejnym przełożeniu daty brexitu – na 31 stycznia – brak im już argumentów przeciwko rozwiązaniu Izby Gmin. Wcześniej oficjalnie twierdzili, że pomimo nowej umowy brexitowej premier może jeszcze doprowadzić do brexitu bez umowy. Nieoficjalnie Partia Pracy oczekiwała na sondażową klęskę Johnsona po niespełnieniu obietnicy brexitu 31 października. Ale chyba się przeliczyła.

Według sondaży Partia Konserwatywna może już liczyć na 41 proc. głosów. Druga na liście jest Partia Pracy z wynikiem gorszym aż o 17 pkt proc. Potem przeciwni brexitowi są Liberalni Demokraci (20 proc.) i Brexit Party Nigela Farage'a (7 proc.). Sytuację laburzystów dodatkowo pogarsza fakt, że po wyborach raczej nie dogadają się w sprawie koalicji z LibDemami. Ale prawdziwą sensacją powiało po prawej stronie. Farage oświadczył, że nowa umowa wyjściowa Johnsona jest gorsza niż pozostanie w Unii na starych warunkach. Według prasy Farage się przestraszył oczywistego – że dokonanie brexitu, któremu poświęcił prawie całe dorosłe życie, będzie jednocześnie oznaczać jego polityczną śmierć.

Ogień i woda

Pokojuowe Noble często budziły emocje prawie tak skrajne jak nagrody literackie. Ale tegoroczny to przypadek ekstremalny: na wieść o Noblu dla premiera Etiopii **Ahmeda Abiya** w kraju rozgorzały zamieszki, w których zginęło już 78 osób. Palono przy okazji publicznie książkę – manifest Abiya o potrzebie zgody narodowej i przezwyciężaniu napięć etnicznych oraz religijnych, z których Etiopia słynie. Przez lata rządów silnej ręki były trzymane pod przykrywką. Kiedy Abiy doszedł do władzy w kwietniu 2018 r., obiecał demokratyzację: uwolnił więźniów politycznych, zalegalizował partie, uruchomił wolne media i w swo-



im rządzie zarezerwował połowę miejsc dla kobiet; obiecał też emancypację do tej pory silnie marginalizowanym Oromom (największej grupie etnicznej kraju, z której sam pochodzi). No i, szybko okrzyknięty nową nadzieją Afryki, zakończył krwawy konflikt graniczny z Erytreą. Za co rzeczywiście należała się nagroda pokojowa, ale życie dopisało mniej euforyczny ciąg dalszy.

Gwałtowne etniczno-religijne zamieszki wybuchły właśnie w Oromii, podsycane przez media i internet dawny sojusznik, a obecnie główny rywal Abiy w przyszłorocznych wyborach Mohamed Jawar. Trzeba było wprowadzić wojsko, które strzelało do manifestantów; wiele podobnych konfliktów, przez lata siłą utrzymywanych w ryzach, tli się lokalnie, napędzając fale uchodźców. Według raportu Refugees International jest już ich ponad 2,5 mln. Napięcia rosną też na – znów zamkniętej – granicy z Erytreą.

Az tle narasta bardzo poważny konflikt Kairu o budowaną przez Etiopczyków gigantyczną tamę na Nilu, która już za rok miałaby zacząć produkować energię elektryczną, co znacznie uszczupliłoby zasoby wodne Egiptu. Jakie żywotne jest ich znaczenie, wiadomo od wieków. Ruszając 6 listopada w Waszyngtonie rozmowy z udziałem amerykańskich mediatorów zapowiadają się mało pokojowo. Grozi, że może to być pierwszy poważny konflikt międzynarodowy o wodę, które dotąd należały jedynie do sfery political fiction.

Niebo do zamknięcia

Od początku roku Rosjanie już osiem razy przelatywali nad kilkoma ważnymi bazami lotniczymi w USA. I nikt do nich nie strzelał, zrobili to zupełnie legalnie. Pozwala na to Traktat o otwartych przestworzach (ang. Treaty on Open Skies), zawarty w 1992 r., a ratyfikowany dotąd przez 34 państwa, w tym Polskę. Wkrótce będzie 33, bo wycofać się mają Amerykanie, co w praktyce zabije traktat. Open Skies, jak zwany jest traktat, to rodzaj zalegalizowanego szpiegostwa. Kraje mogą przeprowadzać określoną liczbę lotniczych inspekcji rocznie nad dowolnym obszarem sygnatariusza, o ile poinformują go 72 godziny przed lotem. Samoloty mogą używać tylko jawnych aparatów, które podlegają inspekcji, i muszą się dzielić zdjęciami z pozostałymi stronami.

Amerykanie twierdzą, że Rosja nie przestrzega już traktatu. Przewiduje on np., że nie można latać bliżej niż 10 km od granicy

z państwem, które nie jest jego stroną. Rosja więc zakazuje lotów w pobliżu granicy z Osetią Południową i Abchazją, które przy wsparciu Moskwy oderwały się od Gruzji. Ogranicza też długość jednorazowego lotu nad obwodem kaliningradzkim do 500 km i kontrolę nad poligonami wojskowymi.

Procedurę wyjścia z traktatu przez USA zapoczątkował były już doradca ds. bezpieczeństwa narodowego John Bolton. Ale Donald Trump sprawę podchwycił i ponoć podpisał już dokumenty. Wyjście z traktatu wymaga jednak półrocznej karencji, a Waszyngton jeszcze niczego nie potwierdził. Zwolennicy takiego ruchu są zdania, że Ameryka ma nad Rosją ogromną przewagę, jeśli chodzi o satelity szpiegowskie, i tradycyjne loty już nie są jej potrzebne. Przeciwnicy twierdzą jednak, że umożliwia on nieformalne kontakty między amerykańskimi i rosyjskimi lotnikami, co buduje zaufanie. Poza tym Amerykę może stać na superno-woczesne satelity, ale Polski nie.

Antylopy na kłopoty

Na wieść o zwycięstwie w Jokohamie cały kraj opanowała euforia, a ludzie w RPA potrafili świętować, oj potrafili! No i byli wyposzczeni: od miesiąca nie mieli podobnej okazji. Prestiżowy puchar świata w rugby, po finałowym zwycięstwie z Anglią 32–12, po raz trzeci w historii zdobyły Springboki, jak od popularnej lokalnej antylopy nazywa się południowoafrykańska narodowa drużyna. Rzeczywiście, wszystko tutaj ociera się o historię: pierwsze zwycięstwo Antylop, w 1995 r., z prezydentem Nelsonem Mandelą gratulującym białej drużynie (bo to nie był sport dla kolorowych, pamiętacie państwo głośny film?), uznawane jest za moment narodzin tęczowego narodu, nowej wspólnoty budowanej na gruzach apartheidu. Dzisiejszy zwycięski kapitan 28-latek czarnoskóry Siya Kolisi jest rówieśnikiem obalenia apartheidu. Drużynie gratulował w Jokohamie prezydent Cyril Ramaphosa, który objął urząd w lutym, aby ratować przed upadkiem wyborczym Afrykański Kongres Narodowy, historyczną partię Mandeli. AKN ma bardzo obciążoną hipotekę; nie sprostał oczekiwaniom, a kolejni prezydenci byli coraz gorsi. Przepaści rasowej nie udało się zasypać: narodziła się ciemnoskóra klasa średnia, do której należy milioner Ramaphosa, ale rozwarstwienie nawet się pogłębiło. Nie rozwiązano kwestii rozdziału ziemi. Według danych sprzed paru dni bezrobocie sięgnęło 29,1 proc., najwięcej od 16 lat. Dobrze, że przynajmniej zdarzyła się ta dobra wiadomość.



Drużyna RPA z pucharem mistrzów świata w rugby, po zwycięskim meczu z Anglikami.



Zwyczajna historia

To najgorętsza, sądząc po ostrości reakcji, tegoroczna filmowa premiera w Korei Południowej. „**Kim Ji-young, rocznik 1982**” spotkała ostra fala krytyki, masowa akcja bojkotu na portalach społecznościowych i nawet petycja do prezydenta, aby nie dopuścił filmu na ekrany. Tymczasem to bardzo zwyczajna historia przeciętnej koreańskiej dziewczyny o najpopularniejszym tu nazwisku; od urodzenia (jej matka gorąco przeprosza teściową, że urodziła dziewczynkę, a nie chłopca), poprzez edukację, po pracę łączoną z macierzyństwem, w nieustannym poniżeniu i starciu z męską dominacją. Powieść, która posłużyła za kanwę, przedstawiła codzienne doświadczenie wielu kobiet, stąd fenomen jej popularności. Sprzedana w ponad milionie egzemplarzy przełamała publiczne tabu.

Zadziwiające, jak w niezwykle nowoczesnym technologicznie społeczeństwie zdołał przetrwać tak silny paternalistyczny konserwatyzm. „Economist” w swoim „rankingu szklanych sufitów” umieścił Koreę Południową na pierwszym miejscu wśród 29 najbardziej rozwiniętych państw (kobiety zarabiają średnio dwie trzecie męskiej pensji, a w zarządach korporacji stanowią 2 proc.). Trzeba było dopiero akcji #MeToo, która w Korei wypaliła w 2018 r. z nadspodziewaną mocą, aby rzucić trochę publicznego światła na kulturę korporacyjną, gdzie młode pracownice traktuje się nierzadko jak niewolnice seksualne. Na portalu, gdzie anonimowo zgłaszały przypadki molestowania, przybywało po 500 wpisów dziennie. Akcja dosięgła jednego z głośnych reżyserów, narodowego poetę kandydującego do Nobla, wysokiego urzędnika z resortu sprawiedliwości i jeszcze paru wysoko postawionych mężczyzn, ale spotkała się też z gwałtowną kontrreakcją. Tak jak teraz film, uznany przez jego licznych krytyków za karykaturalnie przerysowany manifest feminizmu (to zresztą tutaj bardzo brzydkie słowo – epitet). Może najbardziej szokujące jest to, że bohaterka (aktorkę, która ją grała, spotkał powszechny hejt) znosi wszystko w milczeniu. Przynajmniej to milczenie zostało teraz przerwane.



Polak bez skazy

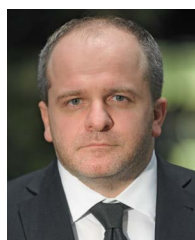
ŁUKASZ LIPIŃSKI – 11 listopada szuka wciąż miejsca w polskiej mitologii. Nie do końca wiemy, jak to święto obchodzić, ostatnio rocznica odzyskania niepodległości została uprowadzona przez skrajną prawicę.

PAWEŁ KOWAL: – Datę, od której zaczęła się niepodległość, wybiera się wiele lat po jej odzyskaniu. Ta upamiętnia przyjazd do Warszawy Józefa Piłsudskiego, czyli jest związana z legendą jednego środowiska politycznego. Została przyjęta w 1937 r., gdy kult Marszałka już był zaawansowany i chroniony prawem! Inny minus, to że przysłań Polakom znaczenie zakończenia I wojny światowej – tworzy wrażenie, że byliśmy wyspą i odzyskalibyśmy niepodległość, bo „tak żeśmy chcieli”, „bo stworzyliśmy Legiony”.

Ciekawe jest dążenie Polaków, żeby opowiadać każde swoje odzyskanie niepodległości, tak jakbyśmy niczego nikomu nie zawdzięczali. Widać to także przy 1989 r. Nawet papieżowi, Ronaldowi Reaganowi czy Zbigniewowi Brzezińskiemu nie jesteśmy w stanie we właściwej proporcji oddać zasług. To wprowadza do historii fałszywą nutę, która skutkuje fałszywą polityką, bo daje nadmierne poczucie pewności siebie.

Dzień wyznaczony ku czci Piłsudskiego obchodzą teraz narodowcy. To były w II RP dwa wrogie obozy.

Paradoks dzisiejszych czasów. III RP ufundowana była na przekonaniu, że „wiosną – niechaj wiosną, a nie Polskę zobaczę”. Bohaterowie Solidarności nie mieli poczucia, że muszą coś celebrować, bo sami byli obiektem celebry, zresztą:



© REPORTER

Rozmowa z prof. **Pawłem Kowalem**, historykiem i politykiem, o polskiej historii i tym, jak ją dzisiaj opowiadamy.

„wybierali przyszłość”. Nie narodziły się więc interesujące świeckie obrzędy obchodzenia świąt państwowych – była oficjalna uroczystość z udziałem liderów politycznych i msza.

Pierwszy marsz nacjonalistów w Warszawie z okazji 11 listopada odbył się w 1996 r. I narodowcy przejęli dzień, który został ustanowiony przeciwko ich pamięci i czynowi, by nie oddawać honorów Dmowskiemu. Ale ilu z uczestników marszu o tym wie?

To powiedzmy, do czego w ogóle służy nam historia? Jedna szkoła mówi o tym, że ma wychowywać w dumie i patriotyzmie. Druga, że ma analizować błędy, rozdrapywać rany „żeby nie zabił się podłością”.

Jest jeszcze trzecie podejście, praktykowane przez środowisko twórców Muzeum Powstania Warszawskiego, z którego ja się wywodzę. To przekonanie, że polityka historyczna jest po to, by budować postawy obywatelskie. Powinna pełnić funkcję edukacyjną nie tylko w oparciu o pozytywne przykłady, ale też dyskusyjne. I powinna się przerodzić w debatę o naszym zaangażowaniu społecznym – to jest kluczowe. Patrzysz w oczy Anodzie, ale myślisz, co dzisiaj jest do zrobienia wokół ciebie. Jedno jest ważne – żeby zawsze odróżniać politykę historyczną od badań historycznych.

Nie ma pan wrażenia, że polityka historyczna wygrywa, że opowiada się nam historii w wersji zmitologizowanej i zinfantyilizowanej?

Na tym polega problem masowej edukacji XX i XXI w., że siłą rzeczy posługujemy się uproszczeniami. Nie uczy się

porządnie np., że I Rzeczpospolita była federacją, a nad Morzem Czarnym nie było skupisk Polaków. To było państwo, które bardziej przypominało dzisiejszą UE niż współczesne, unitarne państwo polskie.

Ale jeszcze bardziej intensywna jest idealizacja II RP.

To dla nas 1920 r., Gdynia i COP. Może dla zaawansowanego odbiorcy można wspomnieć o zamachu majowym.

II RP jest przedmiotem idealizacji, bo jej historia została brutalnie przzerwana, a potem Polskę międzywojenną bezceremonialnie dezawuowano w PRL. Opowieść o II RP jest dziś taka, jak by sobie tego życzyli twórcy oficjalnego kultu Piłsudskiego. Odmawia sprawczości w tworzeniu państwa innym siłom politycznym niż sanacja, szczególnie endecji, ignoruje działania dyplomatyczne, pomija kontekst międzynarodowy. Ludzie gotowi są myśleć, że gdyby nie rozpadły się trzy imperia, to i tak powstałaby na nowo Polska.

Polska własnymi siłami i bez pytania Zachodu o zgodę wywalczyła przede wszystkim granicę wschodnią, to było dużo. Ale zasady pokoju ryskiego są do dzisiaj przedmiotem kontrowersji. Kształt granicy znacząco wpłynął na ustrój II RP, jej dzieje, stosunki między Polakami a Ukraińcami i Żydami. Znamienne, że Karol Wojtyła w swoich tekstach prawie nie odwoływał się do II RP, z wyjątkiem Bitwy Warszawskiej. Wiedzia, że II RP nie nadaje się do idealizacji, a swoją opowieść o tym, jaka powinna być III RP, opierał na przykładach z czasów królewskich.

Timothy Snyder pisał, że bez zrozumienia okresu międzywojnia nie można zrozumieć polskiej współczesności.

W latach 30. to był model zarządzania państwem, w którym odmówiono prawa do uczestnictwa ponad połowie obywateli mających inne poglądy. Wykluczono tych, którzy nie przystąpili do jednolitego frontu, wielu endekom, ludowcom, konserwatom. Ten gen „jednolitofrontowości” pozostał w polskiej kulturze politycznej do dziś. Przekonanie, że trzeba stworzyć jeden organizm, a ci, którzy do niego nie przystępują, nie biją brawa, nie mają prawa głosu. Gdy tylko Piłsudski zobaczył, że prawica w wyborach zdobywa większość, zaczął kombinować jak innymi metodami zapewnić dominację obozu sanacyjnego.

Można postawić tezę, że do zamachu majowego doszło, gdy Piłsudski uznał, że inaczej nie da się w Polsce odsunąć endeckiej prawicy od władzy.

Chodziło nie tylko o endeków: także o centrystów i lewicę, jeśli nie uznawali bezwzględного autorytetu Piłsudskiego. Kiedy zestawimy wizję rządzenia, jaką przedstawił Piłsudski, z wynikami wyborów 1919 r., już wtedy widzimy, że mieliśmy do czynienia z niekompatybilnością elit w stosunku do tego, jak głosi społeczeństwo. Lustrzana sytuacja nastąpiła zresztą w III RP, gdy elita wokół Lecha Wałęsy była generalnie liberalno-centrowo-lewicowa, ale kiedy przyszło do pierwszych wolnych wyborów w 1991 r., okazało się, że społeczeństwo jest bardziej wychylone na prawo.

Piłsudski cały czas myślał o tym, jak obejść prawicę. Przy zawieraniu traktatu ryskiego ze Związkiem Sowieckim imitował podejście endeckie. Później szukał rozwiązań dających jego obozowi dominację i używał do tego metod, które były wtedy popularne w Europie. Jeśli dziś zada pan pytanie o porównanie sanacji do faszyzmu włoskiego, zostanie to uznane za obrazoburcze. Choć z punktu widzenia profesjonalnej historii szukanie podobieństw sanacji do reżimów południa Europy jest zasadne.

Dlatego trudno te późne lata 30. w Polsce idealizować. Faszyzujące władze, propaganda, więzienie dla opozycji w Berezie Kartuskiej, getto ławkowe, obóz dla polskich Żydów z Niemiec w Błaszynie... A jednak biała legenda przeważa.

Dla poważnej dyskusji o państwie konieczna jest debata o II RP. Nie po to, żeby ją zdezwuować, także żeby pokazać jej plusy. Wszyscy u nas lubią się fotografować pod portretem etatysty

Eugeniusza Kwiatkowskiego. A może rację miał, opiewany ostatnio przez Sławomira Cenckiewicza, Ignacy Matuszewski, który był liberałem? Ktoś powinien też ogłosić konkurs na pisaną od podstaw krytyczną biografię Piłsudskiego – pokazującą jego zasługi, ale i uwikłania, błędy. Niech historycy XX w. podejmą ten trud, pójdą do archiwów, żeby jeszcze raz odczytać dokumenty, zinterpretować je.

Tymczasem wciąż uprawiamy kult bohaterów bez skazy, którzy niczym się nie zbrukali, zawsze mieli rację.

Żywa jest sienkiewiczowska potrzeba, żeby pokrzepiać się nawzajem krystalicznymi życiorysami, które nie były naznaczone błędem, grzechem ani nawet wątpliwością.

Doświadczenie z życiem politycznym ostatnich 30 lat też nas w tej sprawie wiele uczy. Nie ma prawie motywacji politycznych, które byłyby złożone wyłącznie ze szlachetnych intencji. Każda ma element egoistyczny, stronnictwo.

Mówi pan to jako historyk czy polityk?

W pewnym sensie każdy historyk jest trochę politykiem. W przedwojennej tradycji znani historycy często mieli jasne poglądy polityczne. Jeśli weźmie pan do ręki którąkolwiek z moich książek, zobaczy pan, że została napisana przez historyka, który siedział w archiwum i ostrożnie podchodził do dokumentów. Gdy dyskutujemy, pozwalam sobie na trochę więcej.

Prof. Marcin Kula mówił, że instytucje państwowe chcą widzieć historię Polski jako bohaterską.

Jego zdaniem wpływ państwa na to, jak się o historii pisze, powinien być minimalizowany.

Wszędzie w Europie państwo finansuje badania.

Chodzi o wpływ na kierunki badań i ich wydźwięk. Koniec z pedagogiką wstydu – mówił Jarosław Kaczyński. Instytut Pamięci Narodowej podjął to wezwanie.

IPN ma duże zasługi, jeśli chodzi o archiwizowanie dokumentów oraz zamawianie i prowadzenie prac źródłowych. Przyczyna to każdy historyk, który nie jest zacierzwiony. Problem polega na tym, że niejednokrotnie, np. w sprawach stosunków polsko-ukraińskich czy polsko-żydowskich, decydenci w IPN wchodzili w rolę ściśle polityczną.

Gdy szefowie IPN podważają winę sprawców zbrodni w Jedwabnem...

Są i inne przykłady nadużywania pozycji IPN. Tym niemniej to instytucja, w której długi czas panował pluralizm i gdzie zrobiono wiele dobrego, zwłaszcza wtedy, gdy Łukasz Kamiński był szefem. Inna sprawa, że nadejdzie kiedyś taki moment, kiedy IPN wypełni swoją misję dokumentowania totalitaryzmu, przekaże dorobek archiwum państwowemu, a jego funkcje edukacyjne przejmą inne instytucje.

Są w rozmowie o polskiej historii – ale też w badaniach – tematy, które starannie omijamy. Każdy może mieć tu swój ranking – a pan?

Czekam np. na monografię dziejów Kościoła w PRL, która będzie pokazywała, że w latach 80. oprócz wątku martyrologicznego, który dotyczył pewnej grupy duchownych, Kościół zajmował postawę bardzo polityczną, przyjmował rolę moderatora. Z Kościołem konsultowano większość rzeczy, które się działy w państwie; był głównym partnerem politycznym władz. Jan Paweł II jest pokazywany wyłącznie w kontekście religijnym, w jakimś sensie odmawia mu się niebawiałych talentów politycznych, które posiadał. Nie pokazuje się go jako realnego męża stanu, który miał świadomość polityki amerykańskiej, miał kontakt z szefem CIA, z Brzezińskim.

Inne tematy z kolei są rozdmuchane, np. kult żołnierzy wyklętych. Omalże w każdej gminie są biegi „wilczym śladem”...

W politykach, tak jak w okresie międzywojennym, tkwi pokaś budowy kultu państwowego, ale najczęściej to się nie udaje. Dziś są pluralistyczne media, internet, media społecznościowe. ►